Rocznik IV. Kraków, 1 sierpnia 1901. Numer 2.

SKARBNICA

pismo miesięczne

popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:

Ks. MARCELI DZIURZYŃSKI.

NAKŁADEM WYDAWCY.

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1901.

Rok IV. Kraków, 1 sierpnia 1901. Numer 2.

SKARBNICA

PISMO POPULARNO-NAUKOWE i POWIEŚCIOWE

wychodzi **raz** w miesiącu — dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: *X. Marceli Dziurzyński.*

Przedpłata wynosi:

w Austryi: na rok **3** korony (**1** złr. **50** ct.); na pół roku **1** korona **50** halerzy (**75** ct.). — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się. **W Niemczech:** na rok **3** marki. — **W Ameryce:** rocznie **1** dolar.—

Adres do przesyłania przedpłaty:

Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ulica Basztowa L. 4.

Jakie było utrzymanie Duchowieństwa polskiego w dobie Piastowskiej*).

Urywek historyczny z dawnych dziejów Polski.

Po zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej w Polsce, całem utrzymaniem Duchowieństwa były dziesięciny, składane przez chrześcijan nowonawróconych.

Z początku te dochody były bardzo szczupłe, albowiem dziesięcin chętnie oddawać nie chciano, jak tego mamy przykład za Bolesława Chrobrego, a później po śmierci Mieczysława Gnuśnego.

Aby tedy Duchowieństwu zapewnić utrzymanie stałe i stósowne, poczęto przy nowo zakładanych kościołach, nadawać Proboszczom grunta, z którychby wyłącznie dla siebie mogli czerpać dochody. Kiedy powaga Duchowieństwa wzrosła u nas do wysokiego stopnia, wówczas synody polskie ustanawiały liczne kanony (przepisy) względem dziesięcin i wymierzały kary kościelne na tych, którzy ich oddawać nie chcieli.

Dziesięciną zwała się dziesiąta część dochodu, pobieranego przez Duchownych, ze zboża, owoców, siana, rybołóstwa, górnictwa, ptasznictwa, skór, miodu, wełny i tym podobnych.

Eugeniusz III, Papież, w bulli, wydanej w roku 1184 do

*) „Doba Piastowska“ oznacza czasy, w ktorych w Polsce panowali królowie z rodu Piasta, a więc czasy najdawniejsze, aż do śmierci Kazimierza Wielkiego (do roku 1370).

Warnera, Biskupa włocławskiego, wylicza dziesięciny, jakie ma pobierać z kościoła Najświętszej Panny Maryi w Zawichoście i z zamku Łagów, oraz dziesiąty pieniądz ze wszystkich dochodów kościoła Najśw. Panny Maryi w Sandomierzu i dziesięcinę w Gdańsku, nietylko ze zboża, lecz i z opłat pobieranych od statków; nakoniec dziesiątą część, przypadającą od sądów w całej dyecezyi.

W trzynastym wieku, w dyecezyi płockiej, dawano dziesięcinę z kun i wiewiórek, którą dopiero Papież Grzegorz IX na snopową zamienił. Paweł, Biskup krakowski w roku 1289 udarowany został przez Leszka Czarnego dziesięciną z kruszców, jakieby się znaleźć mogły w czyimkolwiek gruncie w dyecezyi krakowskiej.

Ogólnie jednak mówiąc, w kraju naszym, jako rolniczym, weszły w powszechny zwyczaj same tylko dziesięciny gruntowe, które rozróżniano na większe i mniejsze.

Większemi dziesięcinami zwano pobór wszelkiego gatunku zboża, jako to: żyta, jęczmienia, owsa; mniejszemi zaś, pobór konopi, czosnku, cebuli i innych ogrodowizn, i pierwsze stały się u nas zwyczajem, drugie nie bardzo się upowszechniły.

Synod sieradzki, odbyty w roku 1233, za Arcybiskupa Fulkona, wspomina o dziesięcinie wytycznej, jako o zwyczaju bardzo starożytnym, sposób jednak oddawania jej nie był jednakowy.

I tak naprzykład w dobie Piastowskiej, rycerstwo polskie mogło oddawać dziesięciny dowolnie temu lub owemu kościołowi, który sobie obrało, bądź parafialnemu, bądź katedralnemu; inni zaś mieszkańcy musieli ją oddawać koniecznie do kościołów wyznaczonych.

Wyraźnie o tem mówi wspomniany synod sieradzki, napominając rycerstwo, które albo wcale dziesięcin oddawać nie chciało, albo nie w zupełności je oddawało, iż tym sposobem prawo swoje utraci i będzie zmuszone oddawać dziesięcinę w podobny sposób, jak drudzy.

Jakób, Arcybiskup gnieźnieński, w roku 1285, postanowił, aby dziesięciny oddawane były tym kościołom, dla których są przeznaczone. Pomimo takich zakazów, rycerstwo polskie jednak nie zaniechało swego dawnego zwyczaju oddawania dziesięcin temu kościołowi, który sobie obrało.

Taki sposób postępowania wywoływał częste narzekania ze strony Duchowieństwa, albowiem nie można było być pewnym, czy to rycerstwo oddaje w zupełności dziesięcinę, albo też nie. Wskutek czego zabroniono Duchownym przyjmować

dziesięciny z innej parafii, a tembardziej z innej dyecezyi, chyba jedynie za przywilejem i wolą Biskupa dyecezyalnego.

Ustawa synodu umiejowskiego z roku 1326 mówi, że jeżeli dziedzic, mający przywilej oddawania dziesięciny któremukolwiek kościołowi (według swego wyboru), podzieli swój majątek między synów, to w takim razie tylko najstarszy syn będzie miał prawo rozporządzać dziesięciną podług swej woli, inni zaś synowie powinni ją oddawać temu kościołowi, któremu jest przeznaczona. Jeżeliby zaś dziedzic sprzedał, albo darował dobra swoje jakiej osobie z niższego stanu pochodzącej, to już tem samem przywilej rozrządzania dobrowolnie dziesięciną ustaje.

Za panowania Władysława Łokietka (od r. 1305 do roku 1333) powstał spór o dziesięciny w dyecezyi krakowskiej między Janem Grotem, Biskupem krakowskim, a szlachtą; szło nie o samą dziesięcinę, ale o to, w jaki sposób taż dziesięcina ma być wybieraną z pól nowozaoranych.

Biskup krakowski utrzymywał, że takie dziesięciny z nowizn powinny należeć do niego; król zaś i szlachta dowodzili przeciwnie, iż powinny je pobierać kościoły parafialne. Naówczas Janisław, Arcybiskup gnieźnieński, na zjeździe w Chęcinach, w roku 1330, wraz z przybranymi na ten cel członkami świeckimi i duchownymi, zawyrokował, iż dziesięcina z wykarczowanych lasów lub łąk na pola zamienionych, ma należeć do kościoła parafialnego; gdyby zaś w lasach, po wycięciu drzew i osuszeniu bagien, nowa osada założoną została, to naówczas z takiej osady dziesięcinę Biskup pobierać będzie.

Za panowania Władysława Łokietka, Krzyżacy napadłszy na Polskę, zmusili Macieja, Biskupa włocławskiego, do zawarcia umowy w Toruniu, roku 1330, mocą której Biskup miał pobierać na całem Pomorzu dziesięcinę nie w snopie, ale po 3 skojce z każdego uprawnego łanu.

Niedługo potem powstał spór w Małopolsce między Duchowieństwem a rycerstwem, nie o same dziesięciny, ale o sposób ich oddawania. Król Kazimierz oddał tę sprawę do rozsądzenia Bogoryi Skotnickiemu, Arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, który wydał postanowienie, że ktobykolwiek odważył się zagrabiać dziesięcinę, ten ulegnie klątwie; gdyby zaś dziedzic wyklęty, lub żona jego, przez sześć miesięcy rozgrzeszenia nie otrzymali, to naówczas wszyscy mieszkańcy wsi w klątwę wpadają.

Kiedy dziedzic wioski życzy sobie od księdza dziesięcinę

zakupić, to ma się o nią ułożyć przed św. Jakóbem, inaczej traci do tego pierwszeństwo.

Z ogrodów pługiem zaoranych i zbożem lub konopiami zasianych, należy się dziesięcina, wyjęte są od tego ogrodowizny, jako to: rzepa, mak, cebula i czosnek.

Z zimowych zasiewów pobierano dziesięcinę od początku żniwa aż do świętego Bartłomieja, a z zasiewów wiosennych od świętego Bartłomieja aż do Narodzenia Najśw. Panny.

Według konstytucyi Gwidona Kardynała, wydanej na synodzie wrocławskim w roku 1267, postanowionem było, że każdy po zżęciu zboża, powinien zawiadomić trzykrotnie tego, komu się dziesięcina należy, aby ją sobie odebrał. Jeżeli mający prawo do dziesięciny, po trzeciem zawiadomieniu w przeciągu trzech dni takowej nie odebrał, to wtedy właściciel mógł sobie zwieść, gdzie chciał, swoje dziewięć części zboża, a dziesiątą część w polu zostawić.

Różne synody tego czasu zabraniały zamieniać dziesięcinę na pobieranie jej w pieniądzach. Dopiero w roku 1326 uczynił to Jarosław, archidyakon krakowski dla swego probostwa w Górce.

Wnet potem, bo w roku 1330 zawarł Biskup włocławski, Maciej z Gołanczewa, układ z zakonem krzyżackim, mocą którego w Pomeranii (na Pomorzu), można było dziesięciny wypłacać pieniądzmi.

Najgwałtowniejsze jednak spory o zamianę dziesięcin na pieniądze, miały miejsce w owym czasie pomiędzy książętami śląskimi a Biskupem z Wrocławia. Bolesław II, książę lignicki, uwięził nawet Tomasza Biskupa i zmusił go do przyzwolenia na zamianę dziesięciny wytycznej na pieniężną.

W niektórych okolicach Polski była wybieraną przez XX. Wikaryuszów i organistów, tak zwana „petita“, to jest „dziesięcina proszona“, która po wielu parafiach przechowała się do dni naszych.

LEŚNY ONUFRY.

Opowieść prawdziwa. — (Napisał Silef).

Z moich lat dziecinnych utkwiła mi głęboko w pamięci postać leśnego Onufrego. Był to chłop nizki, o grubym karku. Z jego czerstwej twarzy tryskało zdrowie. Wąs miał sumiasty i maleńkie faworyty.

Przypominam sobie żywo jego torbę z borsuczej skóry,

jego laskę sękatą i gęsto nabijaną gwoździami, a przedewszystkiem jego pas skórzany — ów przedmiot mojego podziwu — który nosił przewieszony przez ramię. Na tym pasie jaśniał bardzo starannie wypolerowany orzełek, widomy znak godności leśnego kameralnego.

Onufry dumny był ze swego orzełka, i to nie bez słuszności, gdyż on dawał mu władzę nad całym kompleksem lasów, w okolicy K...... położonych. To było powodem, że utrzymywał go w nieposzlakowanej czystości i nieraz w rozmowie powtarzał ku swej chlubie, że jego orzełek musi się zawsze błyszczeć.

Jako leśny rządowy był onufry postrachem dla tych wszystkich, którzy drzewo w lasach, jego pieczy powierzonych, chcieli uważać za wspólną własność — podobnie, jak powietrze i wodę. Stokroć więcej bali się widoku jego orzełka liczni kłusownicy, którzy z jaką taką flintą na ramieniu tropili grubszą i drobniejszą zwierzynę, jakiej w owe czasy było w lasach poddostatkiem. Ileż to razy zdarzało się, że na posterunek żandarmeryi w K...... przynosił Onufry taką flintę, powiązaną sznurkami i podrutowaną, w którą kłusownik w braku kul ładował kawałki żelaza, a najczęściej gwoździe ze starych bron!

Onufry nosił także strzelbę, lecz strzelcem nie był. Wiedział jednak dobrze, chodząc całymi dniami po lasach, gdzie znajduje się zwierzyna: czy sarny są w lesie pod Jasieniem niedaleko od szczytu Jaworyny, czy przeszły do Rumku, czy też wyniosły się do wysokopiennych lasów w dobra Nawojowskie, co w tym wypadku miało zapowiadać ostrą zimę.

Zwierzyna sprawiała Onufremu wiele kłopotu, a najbardziej dogryzały mu dziki. One to, ryjąc za żerem, tu zniszczyły szkółkę drzewek, a ówdzie powywracały młode kultury. Jak nie w tym, to w innym lesie wyrządzały szkody, ku wielkiemu zmartwieniu leśnego, odbierającego za to naganę od swych przełożonych. Poprzysiągł im więc zemstę dozgonną i postanowił o każdorazowem ich pojawieniu się donosić do zarządu lasów, ażeby ten urządzał na nie polowania. Odtąd ile razy Onufry wytropił dziki, zostawiał je w spokoju, a sam spieszył czemprędzej do K...... z zawiadomieniem, że dziki w tem a w tem miejscu żerują i że trzeba je wybrać. Wtedy to myśliwi kryniccy, zwoławszy chłopów do robienia obławy, wyruszali w las na wskazane miejsce. Polowania dość często kończyły się na tem, że strzelcy powracali do domu z próżnemi rękami, wlokąc się z wysiłkiem po całodziennem umęczeniu,

chodzeniem wśród śniegu po lasach. Dziki bowiem tymczasem, nie czekając na myśliwych, przeniosły się już w inne strony.

Pewnego wieczoru zimowego przyszedł Onufry do mojego ojca. Ojciec w owe czasy cieszył się sławą najlepszego myśliwego. Strzelał dobrze i miał szczęście zawsze coś ubić. Polował często, bo i sam dzierżawił polowanie i zarząd lasowy zapraszał go, jako zapalonego myśliwego, na każde większe polowanie, a nawet pozwolił mu przywozić ze sobą kilku strzelców, jak się to w takich razach zwykle praktykuje. Z takiem zaproszeniem od zarządu lasów przychodził do ojca Onufry, który i bez tego nieraz wieczorem przechodząc przez K...... wstępował do ojca i donosił mu, gdzie widział ślady zwierzyny.

Po takiej wizycie Onufrego następnego dnia już od świtu ojca nie było w domu. Wracał zazwyczaj późnym wieczorem utrudzony i zziębnięty.

Matka obawiała się zawsze, ile razy ze zmierzchem ojca nie było widać, zwłaszcza w zimie, gdy spadły duże śniegi. Jakie zaś dawniej bywały zimy i jakie śniegi w K......, pamiętają starzy ludzie, a o tem świadczyła także do niedawna tablica na domu na Hucie, przybita przez komisarza rządowego, która wykazywała wysokość śniegu z r. 1866. Wtedy na przestrzeni od wsi Ł..... aż do K...... miał śnieg pozasypywać chaty popod sam dach. O zimie w tym roku istnieje jeszcze żywa pamięć u ludu w okolicach K...... z powodu licznych nieszczęśliwych wypadków, jakie się wtedy wydarzyły.

Nic więc dziwnego, że gdy ojca nie było widać z polowania, matka się niecierpliwiła i z trwogą oczekiwała, kiedy wreszcie posłyszy głos jego trąbki. Ojciec miał ten zwyczaj, że gdy się zbliżał do domu, oznajmiał nam swoje przybycie trąbiąc. Myśmy wtedy, ile nas dzieci było w domu, wybiegali naprzeciw, ciesząc się, że tatuś powraca i że nic mu się złego nie stało.

Matka nie lubiała bardzo ani samego Onufrego, ani jego wizyt. Nie przeszkadzało to jednak, że ile razy Onufry przyszedł, to zawsze podała mu czy to herbatę, ażeby się rozgrzał, czy też kieliszek wódki i coś na przekąskę, co było w domu. Zachowywała się tak, że Onufry nie odczuwał tego, iż mu jest niechętną. Z przyjemnością więc wstępował do ojca, a usprawiedliwiając się niejako ze swoich częstych wizyt, mawiał:

— „Joj pane! ja ne mohu ne wstupity do was, kolim priszoł do Krynyci“.

Ojciec za te wizyty, a raczej za informacye o zwierzynie musiał prawdopodobnie coś płacić Onufremu, skoro ten tak

chętnie przychodził, ile razy mu się po temu nadarzyła sposobność, ażeby zdradzić przed ojcem, czy to niewinnego zajączka, czy chytrą liszkę, duszącą kury po wsi, czy wreszcie dziki, którym Onufry poprzysiągł zemstę za to, że mu bruździły w jego karyerze lasowej.

Byliśmy więc przyzwyczajeni do widoku Onufrego, a nawet lubiliśmy go, bo czasem nam przynosił to ptaszka żywego, to wiewiórkę — mieliśmy się więc czem bawić.

Tego wieczoru jednak oznajmił Onufry ojcu, ażeby zabrał ze sobą, ile tylko może strzelców, bo całe stado dzików obtropione. Przypuszczał zaś, że z legowiska nie ruszą tak prędko, bo mają bukwi poddostatkiem, a do tego zmęczone są odbytą drogą po świeżo spadłych śniegach.

Po odejściu Onufrego zaczęło się gorączkowe przygotowanie do jutrzejszej obławy. Nie trzeba zapominać, że w owe czasy nie było jeszcze ani tak udoskonalonych strzelb jak dzisiaj, ani gotowych patronów. Stara kapslówka, na którą dzisiejsi myśliwi niemal z pogardą spoglądają, była czemś bardzo doskonałem w porównaniu do strzelb, które były przed jej użyciem. Zabrał się więc ojciec do lania kul. Mój brat starszy, którego ojciec zaprawiał już do polowania, pomagał mu w tej robocie, ciesząc się, że i on jutro będzie mógł iść z ojcem na dziki.

Zrazu matka przeciwną była temu, aby ojciec zabierał na polowanie naszego brata, z tej słusznej obawy, ażeby polowanie nie przeszło u niego w namiętność. Lecz gdy ojciec oświadczył jej, że bierze go ze sobą li tylko dlatego, ażeby na wszelki wypadek mieć kogoś przy sobie, nie sprzeciwiała się odtąd więcej, a nawet sama nieraz nalegała na to, ażeby szli obaj, zwłaszcza w czasie zimy, gdy nie trudno było o przypadek. Ta łatwa zgoda matki upoiła brata, który odziedziczył po ojcu żyłkę myśliwską, bezgraniczną radością. Odtąd towarzyszył on ojcu we wszystkich wyprawach myśliwskich. Z czasem zasmakował w polowaniu tak dalece, że stało się ono niejako niezbędną potrzebą jego życia. Lecz wracam do przerwanego opowiadania.

Gdy kule były już gotowe, zabrali się do robienia patronów. Następnie posiekali kilka kul na lotki, przeznaczone na rogacza, gdyby przypadkiem wyszedł w czasie obławy. Potem oglądali strzelby. Brat wyczyścił swój sztuciec, ażeby się nie powstydzić swoją bronią, gdy się znajdzie w licznem towarzystwie myśliwych. Wreszcie wydobyli torby i napełniali je żywnością.

*

Wśród tego zajęcia wpadły psy do pokoju. Zrozumiały widocznie, że jutro będzie dla nich niejako popis i zaczęły poszczekiwać z radości, wymachując ogonami i łasząc się około ojca. Ojciec przemawiał do nich łagodnie: „Pójdą pieski — pójdą — jutro na dziki“. One patrzały na ojca i zdawały się każde jego słowo rozumieć. Byłem wtedy jeszcze małym chłopcem, ale tę scenę z psami widzę, jak gdyby dziś.

Wnet poschodzili się do ojca i inni myśliwi, których Onufry już uwiadomił o jutrzejszej obławie na dziki. Uradzili między sobą, że jutro o godzinie 4 nad ranem wyjadą z Krynicy. Ojciec miał konie i obiecał zebranych u niego myśliwych odwieść sankami pod Jaworynę. Reszta strzelców miała się postarać o drugie sanie. Po tej naradzie rozeszli się wszyscy, bo każdy miał jeszcze coś do roboty w domu. W chwilę potem i u nas zapanowała cisza, bo i tak było już późno w noc.

Gdy się nazajutrz obudziłem, już dawno nie było ani ojca, ani brata w domu. Pojechali, gdy ja jeszcze najsmaczniej spałem. Dzień był jasny, mroźny i zdawał się zapowiadać szczęśliwe łowy.

Matka atoli była niespokojna o ojca od samego rana. Mówiła do nas, że miała jakiś niedobry sen i że lęka się o ojca. Dzień wydawał się jej bardzo długim; spoglądała co chwilę na zegar.

Nadszedł wieczór. Już było dobrze ciemno, a tu niema żadnej wiadomości, jak się polowanie udało. Dzień zimowy jest krótki i szybko po zachodzie słońca noc się robi, a zwłaszcza w górach, gdzie niema zmierzchu. Matka, jeszcze bardziej niespokojna, modliła się, przesuwając ziarnka koronki, a my skupiliśmy się około niej, jak strwożone pisklęta. Cisza zapanowała w izbie. Naraz matka, przerywając modlitwę, rzekła do nas:

— Módlcie się, dzieci, i proście Boga, ażeby ojciec powrócił szczęśliwie do domu, bo ja mam jakieś dziwne przeczucie nieszczęścia.

Wtedy my, dzieci, jeszcze bardziej skupiliśmy się około naszej dobrej matki, modląc się z nią za ojcem, każde na swój sposób.

Tego wieczoru i tej chwili nie zapomnę nigdy. Wryła się ona głęboko w młodociany umysł, a dziś — po latach wielu — gdy sobie ją wspomnę, robi mi się zaraz lżej na sercu i jaśniej przed oczyma, bo wtedy czuję ciepło ogniska domowego i miłość matki kochającej swe dzieci po dawnemu, prawdziwie, a nie jak dzisiaj modnie dla świata.

Na tem oczekiwaniu mijała godzina jedna, druga, a tu

niema ani ojca, ani brata, ani też żadnego z reszty myśliwych. Noc już rozpostarła swoje panowanie i na niebie zajaśniało gwiazd tysiące. Zrozpaczona matka wezwała sługę i postanowiła iść z nią i dowiadywać się, czy też który myśliwy nie powrócił. My mieliśmy zostać w domu pod opieką najstarszej siostry i babki.

Gdy matka ze sługą były już na progu, dały się słyszeć dzwonki i w tej chwili dolatywał z dala do naszych uszu metaliczny głos trąbki, tak dobrze nam znany. Matka odetchnęła swobodniej, a także na nasze twarze powróciła wesołość. Niebawem stanęły przed domem jedne sanie, potem drugie, a wreszcie zajechały i trzecie.

Na tych ostatnich złożony był plon dzisiejszych łowów. Olbrzymia samura zajęła całe sanie rozścielając się w nich potwornem swem cielskiem.

Zdumienie ogarnęło nas małych na widok ubitego zwierza. W chwili, gdyśmy go oglądali ze wszystkich stron, doszło do naszych uszu rechtanie młodych prosiątek — maleńkich, które żywcem wzięto i przywieziono w workach z owsa i siana. Było ich aże pięcioro. Starą ubito, a młode uratowano, zabierając je żywe. Co to była za uciecha dla nas, z jakiem zajęciem przypatrywaliśmy się temu młodemu potomstwu dzików! Dopiero trzaskający mróz oderwał nas od sani. Zziębnięci wróciliśmy do domu.

Tu matka krzątała się około stołu, ażeby podać objad. Ojciec i brat, ułatwiwszy się z tymczasowem umieszczeniem warchlaków, weszli do pokoju. Ojciec był blady. Matka, rzuciwszy okiem na ojca, spostrzegła odrazu, że na polowaniu musiało zajść coś niedobrego. Pyta więc wprost ojca, co się stało. Na to ojciec, zwracając się w stronę brata, odpowiada:

— Gdyby nie on, któremuś nie pozwalała chodzić ze mną na polowanie, jużbym do was nie był powrócił żyw. On mnie dziś ocalił, bo młody i silny, bo dobre ma nogi, lepsze niż najszybsza sarna.

Słysząc to matka, załamała ręce i zalała się łzami. Ucałowała ojca i brata, mówiąc wśród łez:

— Dzięki Ci, Boże! Przecież nie nadarmo miałam jakieś dziwne przeczucie, od chwili waszego wyjazdu z domu! Siadajcie teraz i posilcie się, boście cały dzień byli na mrozie, a potem opowiecie mi wszystko dokładnie.

Myśmy się zbili w kupkę i czekaliśmy w milczeniu na opowiadanie ojca. Teraz dopiero zrozumieliśmy niepokój matki.

Ojciec podniósł się ze stołka, na którym przez chwilę wypoczywał i rzekł do nas:

— Módlcie się dzieci i podziękujcie Bogu, że wam ojca nie zabrał.

Rzuciliśmy się wszyscy do ojca i całowaliśmy go po rękach. Potem zaczęliśmy go rozbierać. Każde z nas miało przytem inną służbę. Jedno musiało przynieść pieska do ściągania butów, drugie odnieść buty do kuchni, ażeby wyschły, inne wreszcie zanieść futerko ojca na swoje miejsce. Gdy ojciec miał ściągać futerko, odezwał się, zwracając się do matki:

— Przypatrz się, moje dziecko — tak bowiem zawsze zwykł do naszej matki przemawiać — przypatrz się tylko, gdyby nie to futerko, źleby było ze mną, bo by mnie może rozbestwiona samura ciężko była poraniła, a może i rozszarpała, a tak kły wbiła we futerko. — To mówiąc, odpiął ojciec szpilkę, a z futerka na piersiach opadł na dół kawał wydartego sukna. Poza odpadłem suknem skóra futra potarganą była w kilku miejscach. Zdjął ojciec poszarpane futro i mówi do brata: — Przynieś no moją strzelbę i pokaż matce, jak ona wygląda po dzisiejszem polowaniu.

Brat przyniósł strzelbę. Była ona nie do poznania: kolby brakowało, a lufa była całkiem pokrzywiona i pogięta.

Matka i my z zapartym oddechem w piersiach oglądaliśmy szczątki z tak pięknej niedawno jeszcze strzelby. Wtedy ojciec patrząc się na nas mówi:

— Dziwicie się, że strzelba w takim stanie? Pojmiecie wnet, że nie mogło z nią stać się inaczej, gdy się dowiecie, co zaszło na polowaniu. Otóż słuchajcie. Przyjechaliśmy do trzech szop pod Jaworynę, a stąd wyszliśmy na górę. Tu poustawiano nas na stanowiskach. Ja stałem na kraju lasu, na maleńkiej polanie, — a za mną na wyrębie — Onufry; na dole zaś w potoku stał on — tu ojciec wskazał na brata. — Gajowi podpuścili psy. Długo był spokój. Nie było słychać ani psów, ani strzałów. Wreszcie psy zaczęły głosić. Poznałem od razu, że ruszyły dzika. Głos szedł, ale niestety ode mnie. Wtem słyszę coraz głośniejsze i częstsze ujadanie, które na chwilę milknie, ale zaraz potem dochodzi do moich uszu żałosne skowyczenie. Oho — myślę sobie — to pies padł ofiarą kłów dzika, zbliżywszy się do niego nieostrożnie. Potem znowu psy głoszą coraz silniej — namiętniej. Naraz pada pierwszy strzał, — psy na chwilkę umilkły — potem strzał drugi, niezadługo trzeci. Po nich padło jeszcze kilka strzałów, ale po tej pukaninie psy głoszą dalej. Więc myślę sobie: szkoda!



PLANTACYE KRAKOWSKIE.

(Objaśnienie na końcu numeru).

dzik poszedł. Zapewne musiał wyjść na młodych myśliwych, których było kilku na dzisiejszem polowaniu.... Nastała dłuższa chwila ciszy.... Potem znowu słyszę, jak psy głoszą, ale już za górą. Chcą widocznie dzika obrócić do miejsca. Słychać ich coraz słabiej, — wreszcie milkną.... Długo stałem na swojem stanowisku wśród najgłębszej ciszy. Ale oto znowu psy wracają z głosem do miejsca. Ujadają coraz głośniej — poznaję nawet głos mojego Słowika, mojej Lotki, aż tu słyszę: bęc raz, bęc drugi raz, a psy jak głosiły tak głoszą. Dzik idzie na mnie. Słyszę, jak gałęzie w lesie łamie, fuka, psom się ogania na wszystkie boki, sapiąc od zmęczenia. Więc myślę, wyjdzie niezawodnie na mnie. Składam się zaraz do strzału, aby nie chybić. I rzeczywiście niezadługo wysuwa się z lasu olbrzymi dzik, już dobrze postrzelany, farbi mocno, a psy tuż za nim. Biorę na cel. Palę raz — drugi, a tu dzik, jak szedł tak idzie. O, źle będzie, myślę sobie i ja chybiłem. Co tu robić? Czasu już nie ma do nabicia, więc trzeba uciekać. Ledwie sobie to pomyślałem, dzik już przedemną na jakie kilka kroków. Pędzi wprost na mnie, fukając. Chcę go strzelbą uderzyć, a on już na mnie potargał futerko. Dusza była na ramieniu. Biję więc po łbie kolbą, ta atoli za drugim razem rozstrzaskała się w kawałki. Twardszy łeb dzika, niż najtwardsze drzewo. Bronię się dalej, bijąc lufą, która się gnie. Szczęściem wybiłem mu kurkiem oko. Rozjątrzył się tem jeszcze bardziej, ale mnie już łatwiej było usuwać się i bronić się.... Wtem słyszę straszny krzyk: „Joj, pane, ratujte sia, bronite sia“.... Był to głos Onufrego, który stojąc na wyrębie, wyskoczył ze strachu na pniak i w ten sposób zachęcał mnie, ażebym się bronił, a sam nie miał odwagi przyjść mi z pomocą, choć miał strzelbę nabitą, bo mi zaglądała śmierć nie na żarty w oczy. Ale niech mu tam Pan Bóg da zdrowie i za to, że krzyczał, bo tem wybawił mnie od niechybnej śmierci.

Tu brat przerwał ojcu opowiadanie, mówiąc:

— Ja domyślałem się zaraz, że tam musi być coś złego z tatą, bo wiedziałem, że Onufry ma stanowisko tuż obok taty. Więc co tchu pobiegłem potokiem do góry, ażeby się przekonać, co się tam dzieje.

— Mów dalej ty — rzekł mu ojciec, — bo mnie wtedy ściemniło się przed oczami i nie widziałem już, co potem zaszło.

Na to brat. — Gdym przyskoczył na jakie trzy kroki do dzika, jak mu nie przyłożę sztuciec pod samą komorę, — jak nie wypalę, tak zaraz stanął i zaczął się chwiać. Na to nadbiegł młynarz z nabitą strzelbą, poprawił mu jeszcze dwa razy,

przyłożywszy lufę prawie do samej skóry. Padł dzik osłabiony, a psy rzuciły się na niego. Niebezpieczeństwo, zagrażające życiu ojca, minęło.... Gdyśmy ochłonęli z silnego wzruszenia, a dzik leżał już rozciągnięty na ziemi, wtedy także Onufry nabrał odwagi, a przyszedłszy do nas, rzekł: „Joj było z panem barz zli. To ja sia straszni bojał o pana, to lem kriczał sztom mógł“. A ojciec — wpadając mu w mowę — rzekł: „i tem obroniliście mnie, bom już ze sił opadał“.

— Ja nie mogłem — opowiada dalej brat — patrzeć na Onufrego, że nie przybiegł natychmiast ojcu na ratunek.

— Daj spokój — przerywa bratu ojciec, wziąwszy go za rękę — tyś zanadto jeszcze młody i nie możesz zrozumieć tego, że każdemu życie drogie.

— Ja, proszę taty, nie mogę nawet o tem mówić spokojnie. Gdyby Onufrego chciał dzik rozszarpać, a ja był na jego miejscu, nie siedziałbym bezczynnie na pniaku, mając do tego strzelbę nabitą.

Na to ojciec: — Dziękujmy wszyscy Bogu, że się tylko na tem skończyło, że mi dziczysko futerko potargał. To bagatela, może da Bóg zarobić na nowe.

— A cóż Onufry — spytała matka, — czy nie było go wstyd, że tak mało pokazał odwagi?

— Nie inaczej — rzekł ojciec. — Gdy zeszli się strzelcy, gdzie dzik leżał i oglądali miejsce, gdzie z nim wlczyłem, a ja opowiadałem im przebieg walki, słuchali wszyscy z zajęciem, a nawet sam Onufry; ale gdy zacząłem mówić, w jaki sposób Onufry mnie ocalił i mimowoli zwróciłem wzrok w jego stronę, już go nie zobaczyłem między myśliwymi. Znikł niespostrzeżenie.

Od tego czasu Onufry nie pokazał się więcej w domu ojca. Ile razy wypadało mu przechodzić przez Krynicę, szedł zawsze bokami, ażeby go nikt nie widział. Odtąd nie miał już kto zdradzać przed ojcem ani niewinnego zajączka, ani chytrej liszki, ani meldować o dzikach, które jak dawniej tak i potem robiły szkody po lasach i polach.

W kilka lat potem zdarzeniu ojciec mój opuścił Krynicę, ale biedny Onufry i wtedy nie odzyskał humoru. Stronił stale od ludzi. W domu popadał w zadumę i dopiero szum lasu ożywiał go i czynił zdolnym do pełnienia służby. Chodził jak dawniej po lasach, ale unikał starannie — jak mi o tem ludzie opowiadali — owej polanki, gdzie się odbyła walka z dzikiem. — Biedny! odczuł głęboko ową chwilę słabości, kiedy z obawy o własne życie, opuścił w niebezpieczeństwie człowieka, którego zresztą bardzo lubiał.

RUSIN, MOSKAL i POLAK
czyli
Kościół unicki a schizma.

(Ciąg dalszy. — Patrz Nr. 1).

II.

Jakie różnice zachodzą między cerkwią na Rusi, a cerkwią w Rosyi?

Rusin. Z tego wszystkiego, coś dotychczas mówił, zdawałoby się, że rozróżniasz naszą cerkiew ruską od cerkwi moskiewskiej, to jest od tej, która w Rosyi istnieje.

Polak. Tak jest rzeczywiście, i umyślnie wspomniałem już o tem, że tak, jak Moskale nie są tem samem, co Rusini, tak też i ich cerkiew inny ma początek i inne dzieje, jak cerkiew na Rusi.

Moskal. Ciekawy jestem, w czem tej różnicy dopatrzyłeś się, bo mojem zdaniem, niema tu żadnej.

Polak. Nietylko jednej, ale kilku różnic dopatrzeć się może każdy, kto uważnie patrzy. Długo jednak o tem prawić nie możemy, więc pokrótce się sprawię. Najprzód tedy wiedzieć trzeba, że na Rusi istniało chrześcijaństwo przeszło 300 lat pierwej, niż w Moskwie. Rusini nawet od samych Apostołów początek Kościoła swego wywodzą, bo jak twierdzą ich kroniki, tam św. Andrzej uczył w okolicy Kijowa; ale w moskiewskich ziemiach o tem mowy być nie może, bo podczas gdy na Rusi już IX-tym wieku było chrześcijaństwo, to miasto Moskwa zostało dopiero w XIII-tym wieku zbudowane, a w 300 lat potem jeszcze w mieście Rostowie, na ulicy Czudzkiej, publicznie bałwochwalstwo się działo. — Było to więc w XVI-tym wieku, kiedy na Rusi i w Polsce ludziom się o bałwanach ani już nie śniło, i Kościół kwitł w najlepsze od 400 lat. — Na Rusi zaprowadzili chrześcijańską wiarę św. Cyryl i Metody, i chrześcijaństwo szybko się tutaj przyjęło, tak, że w XIII-tym wieku już było 13-cie Biskupstw, które kniaziowie ruscy wyposażyli należycie, gdy tymczasem w moskiewskich ziemiach było wtedy dopiero jedno jedyne biskupstwo i to w Rostowie, gdzie obok chrześcijaństwa na dobre pogaństwo sobie kwitło.

Rusin. Wytłumacz mi, czemu w Moskwie tak nieskoro było chrześcijaństwu się szerzyć?

Polak. Najprzód o tem pamiętać trzeba, że z tamtej strony Dniepru nieliczne już tylko siedziby Słowian, do których wy

Rusini, a i Polacy i Czesi się liczą. Za Dnieprem bowiem mieszkały ludy turańskie i fińskie, dzikie i barbarzyńskie. — Wszystkie zaś ludy od Elby aż do Dniepru są pobratymcze i równe mają obyczaje i usposobienie, a przedewszystkiem równą miłość wolności, tak, że nigdy nie mogą się zniżyć do ślepej uległości w niewoli.

Dlatego u Słowian zawsze byli wszyscy wolni i niewolników u nich nie było — podczas gdy tamte ludy za Dnieprem były zupełnie dzikie i nie znały ludzkich obyczajów. Dlatego też nie znały one, co to wolność i niepodległość i były zawsze w niewoli swych książąt. Kiedy zaś tam przyszli z Rusi kniaziowie Rurykowicze, a mianowicie Andrzej Bogolubski i syn Włodzimierza II-go Monomacha, Jerzy Dołhoruki, i podbił sobie Suzdalskie księstwo, wtedy przemocą nawracał te dzikie ludy do chrześcijaństwa, a zarazem też i do poddaństwa. Dlatego też u tamtych ludów przyjąć nową wiarę chrześcijańską, znaczyło tyle, co przyjąć nową niewolę, i jak ci to wiadomo, u Moskali „Krestianin“ znaczy tyle, co niewolnik. Więc też takie przymuszane chrześcijaństwo nie mogło głęboko zapuścić korzeni w serca ludu i tylko po wierzchu ludu zostało, jakby nie przymierzając pokost lub farba i dlatego też w XIII-tym wieku było na Rusi 13 Biskupów, a w ziemiach, które kniaziowie moskiewscy podbili, tylko jeden jedyny w Rostowie.

Oprócz tego i o tem wiedzieć trzeba, że te ludy, z których powstało księstwo moskiewskie, a w dalszym ciągu carstwo rosyjskie, wyznawały różne herezye, a mianowicie wyznanie mahometańskie, czyli tureckie. Głównie jednakże rozszerzona tu była tak zwana „żydowskaja erez“, czyli herezya żydowska, tak dalece, że 1490 roku należał do niej metropolita moskiewski, Zozyma, który lubił gorzałkę, a czerwoną od niej twarz dymem od siarki sobie bielił; a chociaż Sobór, zebrany w Moskwie, dowiódł mu, że był żydem, to jednak mimo to kniaź na stolicy go trzymał. Nie dziw też, że z tamtej strony Dniepru, na ziemiach moskiewskiemu carowi podległych, były zawsze rozliczne sekty i herezye, a do dzisiaj już ich przeszło 200 naliczono. Sami nawet moskiewscy pisarze przyznają, że zaledwie jedna trzecia część Moskali wyznaje prawosławie, bo reszta należy do sekt przeróżnych.

Tymczasem na Rusi dotąd herezya żadna się nigdy nie przyjęła, i zapłacę drogo Moskalowi, jeśli mi jaką herezyę wykaże pomiędzy Rusinami; a tymczasem musi przyznać, że i tem się obie cerkwie: ruska i moskiewska, albo rosyjska, różnią od siebie.

Rusin. Coś tam wspomniał, miły katoliku, o Rurykowiczach, którzy z Rusi przyszli na moskiewskie ziemie, opowiedz nam to jaśniej, bo nie słyszałem o tem jeszcze nigdy.

Polak. Wspomniałem o tem, że słowiańskie ludy zamieszkiwały wielki obszar ziemi pomiędzy dwiema rzekami, Elbą i Dnieprem, tak, że słowiański lud Obotrytów z miastem, które teraz się Lubeką zowie, przytykał na północy do granic Danii i morza Bałtyckiego. Ku południowi sięgały siedziby Słowian aż do Adryatyckiego i Czarnego morza. Ku wschodowi była rzeka Dniepr naturalną ich granicą od ludów dzikich, o których już była mowa, a które się nazywały: Wess, Mera, Mordwa, Muroma, Meczera i t. d.

O ludach słowiańskich mamy już od VI-go wieku pewne wiadomości i znamy ich religią, zwyczaje i obyczaje. Żyły sobie te ludy swobodnie i spokojnie, aż w końcu VIII-go wieku pokłócili się ich kniaziowie między sobą i przyzwali na pomoc Rusów ze Skandynawii *). Ci też przyszli pod wodzą Ruryka, ale o odejściu już nie myśleli. Była to bitna drużyna, a zwano ich Włóczęgami, czyli Waregami.

Ale i Słowianie mieli swoje urządzenia i zamiłowanie do wolności tak silne, że ci Warego-Rusi, chociaż tu się rządzili jak panowie, powoli jednak przyjęli język i obyczaje słowiańskie. W 300 lat potem potomek tego Ruryka, Jerzy Dołhoruki, zapragnął księstwa udzielnego, zabrał więc ze sobą ochotników, poszedł za Dniepr i tam podbił sobie księstwo Suzdalskie; a że tam mieszkały ludy ciemne i barbarzyńskie, a niewoli zwyczajne, więc też przyjęły od zwycięzców język słowiański i ich religię chrześcijańską. Ale obyczaje dzikie nie prędko się dały wykorzenić, tem więcej, że potem tu przyszli Mongołowie i przez 300 lat srogie dzierżyli panowanie, trzymając kniaziów moskiewskich w hańbiącej zależności.

Tak tedy przyznasz, mój Moskalu, że wy się nazywacie Słowianami, ale nie wiadomo, z jakiej daty, bo i wasz język nie zupełnie słowiański, a pochodzenie to już czysto fińskie i tureckie i tatarskie.

Rusin. A skąd to poszło, że oni tak koniecznie za Słowian chcą uchodzić?

Polak. Bardzo to rzecz ciekawa — tylko was proszę o chwilkę cierpliwości. Wspomniałem, że książęta Rurykowicze, którzy sobie podbili księstwo Suzdalskie, dostali się pod srogie jarzmo Mongołów. Było tej biedy przez lat 300; ale skoro

*) Dzisiejszej Szwecyi i Norwegii.

kniaź Iwan III-ci Wasilewicz wyłamał się z pod jarzma Mongołów, więc zaraz mu się przypomniało, że to jego przodkowie przyszli z Rusi, i tak mu się zdało, że Ruś, to jego własność. Więc zaczął się do niej uśmiechać, i jak mówią, ostrzyć na nią zęby. Car Piotr, co to Moskalom brody pogolił, nazwał się carem wszech Rosyi, a nie Moskwy, a caryca Katarzyna kazała ogłosić dekretem, że Moskale są Słowianami. Z początku śmiali się sami Moskale z tego, ale że oni zawsze w to wierzą, co car każe, więc też wreszcie uwierzyli, że są Słowianami i nawet chcą w nas wmówić, że ich cerkiew jest prawdziwym Kościołem, od którego cerkiew na Rusi odpadła i do którego wrócić powinna.

Moskal. Tak jest rzeczywiście! Myśmy zawsze jeden Kościół stanowili i to tylko Lachy i Łacinnicy wprowadzili zmiany w cerkwi naszej na Rusi; ale teraz to wszystko musi być inaczej i cerkiew na Rusi powinna wrócić do pierwotnej swej czystości i łączności z cerkwią rosyjską prawosławną.

Polak. Mój miły Moskalu — nie gniewaj się tak bardzo — tylko słuchaj cierpliwie — a ta rzecz ci się wyjaśni. Muszę ci bowiem trzy rzeczy opowiedzieć; i to najprzód, że zmiany w obrządkach nie zaprowadzili w cerkwi ruskiej Polacy, tylko Władyki, czyli Biskupi sami, na Synodach je uchwalali.

Powtóre, dowiodę Ci jeszcze, że wasza cerkiew moskiewsko-rosyjska zawsze była schizmatycką i nigdy się z Rzymem i Papieżem nie łączyła, podczas gdy cerkiew na Rusi nigdy z Rzymem otwarcie i jawnie nie zrywała, a bardzo wiele razy tej łączności, czyli unii, swej z Rzymem dawała dowody, i kilkakrotnie ją odnawiała uroczyście i solennie.

Po trzecie, zwrócić trzeba ci uwagę na to, że kto błędnego nawraca, ten nie powinien tego w ten sposób czynić, jak wy czynicie, co prześladujecie biednych Rusinów w niesłychany sposób. To ostatnie obszerniej ci później się opowie, abyś widział, jakby nie przymierzając w zwierciadle, wasze haniebne sprawy, i Rusin żeby wiedział, kto mu dobrze radzi, i kto mu bratem. Bo jużci nie ten brat lub przyjaciel, ani dobry doradzca, kto tak jak wy srogich gwałtów się dopuszcza.

Zacznę tedy od tego, żeby kilka różnic przytoczyć i dowieść, że czysty rozum nakazywałby wam zmienić wasze obrzędy i tak czynić, jak robią w cerkwi ruskiej i cerkwi katolickiej. Wy Moskale przy chrzcie zanurzacie dzieci we wodzie. Rusini zmienili więc ten obrzęd, często niebezpieczny dla zdrowia, bo któżby n. p. zimą dzieci w wodzie kąpał w zimnej cerkwi? A często też obrzęd ten jest bardzo nieprzyzwoity,

jeśli trzeba chrzcić dorosłych. W ruskiej cerkwi przeto chrzczą tak jak Łacinnicy, t. j. polewają trzy razy wodą. Atoli wasz chrzest przez zanurzanie, tak jak ich przez polewanie, jest równie ważny.

Wy Moskale wierzycie w Najświętszy Sakrament, tak samo jak Unici na Rusi i cały Kościół katolicki, ale robicie przy tem dużo niedorzeczności. Bo jeżeli n. p. na ołtarzu obok prosfory, czyli hostyi, leżą cząstki, czyli komunikanty, to wy tych cząstek nie konsekrujecie, a więc lud nie przyjmuje Najświętszego Sakramentu, tylko chleb prosty. U nas po konsekracyi każdy klęka przed Najświętszym Sakramentem — a u was tego nie robią. Za to przed ikonami, czyli obrazami, padacie na twarze. A już przed obrazem cara, jak przed Bogiem się kłaniacie. Z tem więc Rusini różnią się całkiem od was i mają obrzędy zgodniejsze z rozumem. — Przyznasz mi też, że wcale nie osobliwie u was z Komunią św. dla chorych, bo w wielki czwartek palicie Najśw. Sakrament, namaczany w winie, na kamieniu i chowacie popiół w woreczku na cały rok, a jak kto zachoruje, to mu z tego popiołu ugniatacie proskurę.

Czy więc nie rozsądniej robią Rusini, jeśli chorym zanoszą tak samo Komunię św., jak my katolicy?

Prawda, że te zmiany dopiero w 14-tym wieku zaczęły wchodzić do cerkwi na Rusi, ale dopiero od tego czasu mieli Rusini sposobność zobaczenia lepszych obrzędów i zwyczajów, zaniechali gorszych i niewygodniejszych. Sami ich Władycy uchwalali to na Synodach i przepisy wydawali, a lud się do nich przyzwyczaił — i dzisiaj wcale nie pragnie swoich, wiekami uświęconych obrzędów zamienić na wasze. Bo mądry człowiek zawsze się uczy, i jeśli u drugich widzi co lepszego i dogodniejszego, to korzysta z tego dla swego dobra. Więc też wy Moskale lepiej swoje obrzędy poprawcie — albo jeśli taka wola, zatrzymajcie je dla siebie, ale też zostawcie Rusinów przy obrzędach, do których od pięciu wieków przywykli.

Mówiąc jednakże o różnicach, jakie między obiema cerkwiami ruską i rosyjską zachodzą, o tem jeszcze wspomnieć trzeba, że Władycy na Rusi zupełnie byli w rządach Kościoła niezależni i wolni. Żaden kniaź ich nie ciemiężył, i tylko brał Kościół w obronę, a karał winowajców jeśli mu to Synod polecił. Bo Władycy często się zbierali na Synody, i tutaj nad dobrem Kościoła radzili. Takich Synodów odbyli w wieku 12-tym aż 3 w Kijowie, i w następnym wieku (1274) także w Kijowie, 1415 w Nowogrodzie, 1509 w Wilnie. O późniejszych Synodach będziemy jeszcze potem mówili. Władycy na-

wet własne sądy mieli, a takiej zażywali powagi, że nieraz spory książąt załatwiali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Muchy szerzą suchoty. Pewien badacz przyrody, Francuz, schwytał 6 much w pokoju, w którym umarł człowiek na suchoty i zbadawszy je szkłem powiększającem, wykazał, że cztery miały w swych organach pokarmowych zarodki suchotnicze, a nawet w ich odchodach na ścianach znalazł takie same zarodki. W mieszkaniach ludzi zdrowych zarodków nie znalazł. Z tych badań wykazuje się, jak mieszkania ludzi chorych są niebezpiecznemi dla ludzi zdrowych z nimi przebywających.

Kury w ogrodzie. Powiadają, że kto chce mieć ogród, ten nie powinien hodować kur; zapatrywanie to jednakże należy do przesądów, owszem, należy kury wpuszczać co kilka dni do ogrodu na pewien ograniczony czas. Wiadomo z doświadczenia, że kury, opuściwszy kurnik po całonocnem zamknięciu, nie zatrzymują się dłużej na jednem miejscu, ale przedewszystkiem przeszukują powierzchownie cały ogród. Wpuszczone rano do ogrodu, idą od grządki do grządki i zjadają wszystkie owady i gąsienice, znajdujące się na powierzchni ziemi i na roślinach, nie wyrządzając przytem żadnej szkody. Jeżeliby ktoś chciał nie dopuścić ich do pewnej części ogrodu, to łatwo to może uczynić, gdyż stadem kur można tak samo kierować, jak stadem bydła. Gdy po kilku dniach pogody spadnie deszcz, wówczas kury z nadzwyczajną szybkością wyłapują i połykają glisty, które często w ogrodzie wyrządzają dotkliwe szkody. Nie należy jednakże kur zostawiać w ogrodzie dłużej niż przez pół godziny, gdyż poczynają zaraz grzebać, gdy na powierzchni ziemi zabraknie robactwa.

Ile węgla kamiennego wydobywają co roku z ziemi? Węglem kamiennym opalają dziś nietylko mieszkania, ale głównie zużytkowują go fabryki; zapotrzebowanie tego węgla przy wzroście przemysłu i powiększaniu się ilości fabryk jest takie, że dziś na całej ziemi wydobywa się 600 milionów tonn węgla (1 tonna = 10.000 kilogr.), to znaczy, że ilość ta ułożona w kostkę, miałaby 7 mil szerokości, tyleż długości i wysokości.

Drzewo a papier. Dziś wyrabiają wszystkie tańsze gatunki papieru tylko z drzewa. Zapomocą różnych przyrządów prze-

rabiają we fabrykach zwykłą np. sosnę w papkę. a z tej papki robią potem papier.

Corocznie idą tysiące tysięcy drzew do fabryk, nic więc dziwnego, że drzewo jest droższe. Obliczono, że na papier do wydania jednego tylko numeru gazety francuskiej *Petit Journal* (Mały dziennik) potrzeba 170 drzew.

Litość u ptaków. W zwierzyńcu paryskim zrobiono niedawno temu ciekawe spostrzeżenie. W jednej z klatek mieściły się dwie chińskie sikory samiczki, w wielkiej zresztą przyjaźni ze sobą nie żyjące. Pewnego dnia duży ptak, zwany „kardynał“, w tej samej klatce siedzący, posprzeczał się z jedną z sikorek i pokaleczył ją dzióbem tak, że nie mogła o własnej sile utrzymać się na szczeblach, bo pozbawiona piórek, drżąca od zimna, czołgała się po dnie. Cóż tedy zauważono: oto jej towarzyszka każdego wieczoru ścieliła ranionej ptaszynie gniazdko z mchu i źdźiebełek, a następnie siadała koło niej i okrywała ją skrzydełkami. Trwało to cały tydzień, aż ranna towarzyszka życie zakończyła. Miłosierna sikorka tak sobie śmierć towarzyszki wzięła do serca, że nie przyjmowała pokarmu, siedziała nieruchomo w kącie klatki i pewnego dnia znaleziono i ją nieżywą.

Objaśnienie ryciny.

Planty krakowskie (str. 43). Mało jest na świecie takich miast, któreby miały w śródmieściu tyle drzew i taki ogród, jak ma Kraków. Nazywa się ten ogród „plantami“ i otacza całe śródmieście Krakowa.

Ludność miejska, siedząca przeważnie w zamkniętych mieszkaniach, wychodzi na te planty, by powietrza świeżego zaczerpnąć, by się przejść i pogawędzić ze znajomymi. Założył te planty w połowie wieku zeszłego niejaki p. Straszewski. W tem miejscu, gdzie dziś planty, był dawniej mur obronny, okalający Kraków i koło muru rowy. Mury już przedtem zniszczały wskutek różnych napadów nieprzyjacielskich, a rowy zasypano i na nich zasadzono drzewa, porobiono drogi, i tak powstały planty, będące dziś wielką i ozdobą i pożytkiem dla Krakowa.

Nasza rycina przedstawia nam mały kawałek plant przecinających ulicę Szewską i Szczepańską.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Od wydawnictwa.

Pierwszy zeszyt *Skarbnicy* miał dwa arkusze druku, czyli 32 stronice i osobną kolorową okładkę. Pragnęliśmy, aby tak wyglądał i taką miał objętość każdy następny numer *Skarbnicy*. Ale do tego potrzeba było, aby *Skarbnica* od razu miała dużo prenumeratorów; tymczasem jak dotąd, nie zgłosiła się jeszcze odpowiednia i większa ilość czytelników, więc musimy ograniczyć nasze pismo na półtora arkusza druku i odrzucić kolumny okładki.

Gdy się jednak kiedy powiększy liczba czytelników, to wtedy napowrót zwiększymy objętość *Skarbnicy*. Prosimy więc o rozszerzanie tego pisma między znajomymi!